

Bruno Maçães: Początek historii. Narodziny nowej Ameryki (fragment)

Trump to tylko drobna cząstka narracji o upadku. Wzrost produktywności zwalnia od jakiegoś czasu, a wobec tak wysokich poziomów długu Ameryka będzie musiała podnieść podatki lub ograniczyć wydatki publiczne. By pokryć dziurę budżetową, przyszłe administracje staną wobec konieczności obcięcia wydatków infrastrukturalnych i wojskowych. Chinom i Rosji łatwiej będzie wtedy sprawować kontrolę nad swoimi regionami, a wpływ Ameryki w wielu miejscach świata zaniknie – w „Teologii Politycznej co Tydzień”:
„Washington. U fundamentów republiki” publikujemy fragment książki Bruno Maçães: „Początek historii. Narodziny nowej Ameryki”.

W roku 1836 amerykański pejzażysta Thomas Cole ukończył ambitną, pięcioobrazową alegorię, zatytułowaną Dzieje imperium. Cykl ten zrobił ostatnio sporą karierę w internecie, choć uwagę krytyków zwróciłby szereg elementów wtórnych i naiwnych. Jest jednak wyrazisty, spektakularny i cierpki, a przy tym niesie proste przesłanie polityczne. Narody przechodzą etapy podobne do tych w życiu jednostki. Rodzą się, rozwijają i kwitną, potem nieuchronnie zaczyna się wkradać rozkład – czy to tylko obrazy stały się mniejsze? Śmierć i zniszczenie stanowią konieczne następstwo.

Cykl otwiera Okres barbarzyństwa (*The Savage State*), obraz natury nieskażonej ludzką działalnością. Odziany w skóry myśliwy tropi jelenia, a w oddali niewielkie skupisko prymitywnych namiotów rozbitych wokół ogniska zapowiada powstanie miasta. Ukształtowanie się cywilizacji agrarnej z tego pierwotnego plemienia myśliwych stanowi temat obrazu drugiego, Okres arkadyjski lub pasterski (*The Arcadian or Pastoral State*).

W Zwieńczeniu imperium (*The Consummation of the Empire*), trzecim z obrazów, docieramy do akme cywilizacji. Scena jest krzykliwa i kiczowata, ale być może przydarza się to zawsze kulturom w chwili ich najpełniejszego wyrazu. Postacie ludzkie wypełniają całą wolną przestrzeń, odczuwalna jest atmosfera podniecenia, cesarski pochód przechodzi bowiem przez most i opuszcza scenę po lewej stronie obrazu, znikając w różowo-złotym łuku triumfalnym. Króluje przepych, architektoniczna przesada, a wszystko jest wykończone i doskonałe – jasne marmury zdobią wszelkie dostępne powierzchnie. Wszystko zostało osiągnięte i pojawia się obawa o pokój obywatelski, zważywszy na rozpychającą się łokciami, wzburzoną tłuszcę.

Natura imituje rytm cesarstwa. Pierwszy obraz przedstawia miasto o – najprawdopodobniej wiosennym – świcie, drugie o poranku wczesnego lata, trzeci w południe gorącego dnia letniego. Obraz czwarty, Zniszczenie (*Destruction*), jest mroczny, pełen dramatyzmu i wzniosłości. Przedstawia moment splądrowania i zniszczenia miasta. Wroga flota przypłynęła w górę rzeki, podpalając budynki, zabijając i gwałcąc mieszkańców. Nasuwa się wniosek, że ich zadanie było ułatwione wobec zastanego w mieście poziomu luksusu i rozleniwienia. Wszędzie leżą powykręcane ciała, a usiłujący salwować się ucieczką

sklecieli drewnianą konstrukcją, by przejść na drugą stronę mostu, tego samego – choć teraz zerwanego – który na poprzednim obrazie był znakiem potęgi i triumfu. Trudno powiedzieć, czy ciemne chmury unoszące się powyżej to skutek pożaru budynków, czy szalejącej nad miastem burzy. Wreszcie, na ostatnim obrazie tego cyklu, zatytułowanym Wyludnienie (*Desolation*), noc ogarnęła miasto, w którym nie widać żywej duszy i jedynie majestatyczne ruiny dawnej świetności różnią tę scenerię od tej, która rozpoczynała opowieść. Przyroda powraca. Nowe drzewa, krzewy i bluszcz już zajęły wiele walących się budowli, naturalnych ruin pozbawionych ludzkiej energii. Samotna kolumna, wybijająca się na plan pierwszy, służy ptakom za podstawę gniazda.

Dzieje imperium należy interpretować w kontekście zmian społecznych i politycznych, wynikłych z rządów Andrew Jacksona, siódmego prezydenta Stanów Zjednoczonych, którego portret zajmuje dziś honorowe miejsce w Gabinetcie Owalnym Donalda Trumpa. Jackson zdołał, jak się wydaje, połączyć najgorsze dążności demokracji i ochłokracji z władczą autokracją. W oczach ówczesnego amerykańskiego mieszczaństwa musiało to wyglądać jak zapowiedź nadciągającego końca. Ni stąd, ni zowąd, masy poznały własną siłę, a bezprecedensowe rozpowszechnienie kredytów doprowadziło do dzikiej spekulacji i widma załamania finansów. Wobec tej nowej Ameryki niepokój konserwatystów budziła erozja moralnych, społecznych i instytucjonalnych ograniczeń egoizmu jednostek. Bańka ostatecznie pękła w roku 1837 podczas pierwszego z szeregu kryzysów finansowych, przez które Stany Zjednoczone brnęły ku szczytowi światowej gospodarki. Jeden ze współczesnych zauważył, opisując kryzys: „W roku 1835 szaleństwo jeszcze postąpiło, narastając niezmiennie do roku 1836, do lipca, kiedy osiągnęło apogeum”. Czy Ameryka Andrew Jacksona zbliżała się do swego kresu? Wielu mogło

odnosić takie wrażenie, ale dziś wiemy, że po prostu osiągnęła etap gospodarki rolniczej, podczas gdy szmat przyszłych terytoriów wciąż pozostawał krajobrazem dzikiej natury. A przy tym dla większości Amerykanów obrazy miały w istocie wyobrażać historie starożytnych krain, a nie nauki na ich własne czasy. Współcześni Cole'a przestali wierzyć w historię jako cykl narodzin i śmierci.

Wielu widziało największe zagrożenie dla Ameryki nie w rozwoju demokracji, ale w fakcie, że dopiero miała ona spełnić swą obietnicę. Była nią narracja o postępie i nadzieja na jego przyszłe zrealizowanie. Pamiętano złowieszcze myśli Jeffersona na temat niewolnictwa: „A czy można uznać, że wolności narodu są zabezpieczone, kiedy usunęliśmy ich jedyną trwałą podstawę, przekonanie w umysłach ludzi, że te wolności są darem Bożym? Że nie powinny być one gwałcone pod rygorem wywoływania Jego gniewu? Istotnie, lękam się o mój kraj, kiedy pomyślę, że Bóg jest sprawiedliwy, że Jego sprawiedliwość nie może wiecznie pozostawać w uśpieniu” [1].

Pozornie, Dzieje imperium są przedstawieniem Rzymu. Republika rzymska stanowiła wzorzec dla nowej republiki amerykańskiej, a jej rozpad jawił się pierwszym dwóm pokoleniom Amerykanów jako los, którego powinni się wystrzegać. Tak jak Rzymianie, Amerykanie zbuntowali się i wypędzili swoich królów. Teraz żyli w obawie, że ich republika może ulec zepsuciu od wewnątrz. Przedstawiając cesarza podtrzymywanego przez uległe i ogłupiałe pospólstwo, Cole odwoływał się do powszechnego odbioru Andrew Jacksona. Rdzeń narracyjny cyklu wzbudzał wspólnotowe poczucie zagrożenia republiki, podsycane zanikiem cnót publicznych. Jednak świat klasyczny był także źródłem

pewnego sposobu postrzegania historii – w ramach którego narody powtarzają niekończące się cykle wzrostu i upadku – broniętego przez wpływowych myślicieli politycznych, jak Plutarch i Polibiusz.

Cole miał obsesję na punkcie cykliczności historii, a w ostatnich latach życia wprost zapowiedział upadek demokracji amerykańskiej pod koniec XX wieku. W nieopublikowanej opowieści fantastyczno-naukowej opisywał państwo, którego populacja liczy już setki milionów. Krajobraz pobłyskuje nowymi miastami i ich niezliczonymi budynkami, tyle że rozwojowi materialnemu towarzyszy szalejące zepsucie, bezbożność i anarchia. „Natura ludzka i prawa historii, które zrodziła, wszędzie były takie same; pozostawało tylko kwestią czasu, by logika owych praw dosięgła i zwyciężyła wyjątkowe uwarunkowania kultury amerykańskiej” [2].

W toku swoich Dziejów grecki historyk, Polibiusz, stara się przekazać naukę, że gdy naród odstępuje od zasad, które go ukształtowały, katastrofa już czai się za rogiem. Kiedy państwo rośnie w siłę, musi zacząć liczyć się z odczuciami i opiniami swoich sąsiadów. Pycha i arogancja są bliskimi krewnymi podboju, nigdy jednak nie pozwoliłyby nikomu na stworzenie imperium, dlatego też należy je uważać za instrumentarium fundamentalnie nieodpowiednie do jego podtrzymywania.

Polibiusz często nawiązuje do faktu, że w miarę ekspansji Rzym zaczął zmagać się z zepsuciem, bezwładem i zbytkiem. Zmagania o zaszczyty i wyróżnienia zostały zastąpione przez rywalizację o bogactwa. Kiedy państwo zażegna wiele poważnych zagrożeń i zdoła osiągnąć niekwestionowaną przewagę i suwerenność, reprezentowane w nim

style życia stają się bardziej ekstrawaganckie, a rywalizacja o stanowiska w polityce i innych tego rodzaju projektach staje się bardziej zaciekle niż powinna. Czy Polibiusz miał jednak słuszość? Po jego śmierci Rzym przetrwał jeszcze pół tysiąclecia, a wiele z jego największych osiągnięć przypada na stulecia późniejsze. Jest to prawdą zwłaszcza, jeśli skupimy się na dokonaniach zainspirowanych oryginalnym i twórczym charakterem rzymskim, nie zaś grecką mądrością i wiedzą, takich jak geniusz Cezara, podbój Egiptu, Panteon, filozofia Marka Aureliusza, poezja Wergiliusza i Owidiusza.

W naturalnym porządku wydarzeń, jak go postrzega Polibiusz, pierwszym wykształcającym się systemem politycznym jest monarchia, którą zastępują rządy królewskie, gdy jedna osoba rządzi za zgodą innych (by consent), następnie zaś tyrania. „Arystokracja z konieczności wyradza się w oligarchię, a kiedy ogół ludu osiągnie dostateczny poziom wzburzenia, by dochodzić zadośćuczynienia za zbrodnie popełnione przez przywódców, rodzi się demokracja. Wraz z upływem czasu, kiedy demokracja pocznie naruszać i łamać prawo, wyłaniają się rządy tłuszczy i cykl się domyka”. Wszystko z natury przechodzi przez kolejne etapy wzrostu, rozkwitu i upadku, a sprawy osiągają szczyt w okresie rozkwitu. Istnieje jeden tylko sposób, by zapewnić wieczne istnienie państwa, którym jest powiązanie ze sobą wszystkich zalet i cech charakterystycznych najlepszych modeli rządzenia oraz dbanie, by całość była wysoce zrównoważona.

Taki jest naturalny bieg rzeczy, ale w prawdziwym świecie państwa bynajmniej nie rozpadają się, by następnie ruszyć od nowa. Jeśli nazbyt osłabną lub jeśli ich sąsiedztwo wyda potężniejszych rywali, są podbijane. To rywalizacja, a nie naturalny rozkład stanowi główną motywację konstruowania zrównoważonego systemu politycznego. W

takim przypadku, tj. kiedy ogólne, zewnętrzne zagrożenie zmusza obywateli i całe klasy społeczne do szeroko pojętej współpracy, państwo nabywa niezwykłych zdolności: ogół jednomyślnie dokłada wszelkich starań – tak osoby prywatne, jak publiczne – by wykonać to zadanie; nie ma wówczas trudności, którym by nie sprostano. „To nadaje państwu Rzym jego charakterystyczną jakość: jest ono niepowstrzymane, osiąga wszystkie cele, jakie sobie stawia”. Podczas gdy w Kartaginie pospółstwo było już wtedy dominującą siłą polityczną, w Rzymie wciąż był nią Senat. Jako że w Kartaginie o polityce decydowały masy, a w Rzymie jednostki najlepsze, to rzymskie działania polityczne miały zwyciężyć.

Polibiuszowi, greckiemu wygnańcowi i zakładnikowi, okoliczności nie pozwalały raczej twierdzić, że nie ma państw nieśmiertelnych, nie żywił jednak co do tego żadnych złudzeń. Przywołuje słowa Scypiona Afrykańskiego Młodszego wypowiedziane po tym, jak konsul zdołał ostatecznie wkroczyć do Kartaginy i zniszczyć to miasto, od dawien dawna rywalizujące z Rzymem o kontrolę nad Morzem Śródziemnym. Spoglądając na ruiny, Scypion wyraził przekonanie, że wszystkie miasta i narody, tak jak ludzie, muszą pewnego dnia spotkać swoje przeznaczenie. Wszystkie imperia Medii, Persji, Macedonii, tak olśniewające w swoim czasie, przeminęły. Czemu los którekolwiek z bytów późniejszych miałyby być odmienny? Wyrwały mu się stare, Homerowe wersy: „Nadejdzie dzień, gdy święte miasto Troi upadnie”. Zapytany przez Polibiusza, co chciał powiedzieć, cytując te słowa, „mówią, że nie próbując nawet tego taić, wskazał na swoje miasto jako to, o które się obawiał, rozważając los wszystkich istot ludzkich” [3]. Właśnie w momencie triumfu – i klęski najzagorzalszego wroga – młody rzymski mąż stanu zrozumiał, że i Rzym pewnego dnia legnie w gruzach.

W opublikowanej w roku 2010 książce Bruce Ackerman występował przeciwko czemuś, co wciąż postrzegał jako konstytucyjny triumfalizm Ameryki. Widział w nim znak ostatecznego upadku. Dawniej Amerykanie odczuwali silny opór przed uznawaniem doskonałości swojego systemu konstytucyjnego. Zbyt byli zajęci udoskonalaniem go. Ackerman wyraził obawę, że wraz z nastaniem dominacji triumfalizmu energia niegdyś napędzająca amerykański eksperyment również zaniknie. Spora część jego analizy bliska jest sposobowi rozumowania klasycznych historyków w rodzaju Polibiusza. Każda republika zaczyna, dysponując pewnym kapitałem sił witalnych. Wykorzystuje go, by mierzyć się z kryzysami i przewycięzać je, jako że stanowią one konieczny aspekt życia politycznego; z czasem jednak ów kapitał zostanie wyczerpany. Czy też, by oddać tę dialektykę inaczej, każda udana próba rozwiązania problemu natury politycznej lub konstytucyjnej rodzić będzie nowy problem, który z kolei wymagał będzie rozwiązania. A jako że wiele rozwiązań nie sięga leżących u podstaw trudności, problemy będą się mnożyć, a system – słabnąć, kiedy w istocie potrzebowałby coraz to większych zasobów.

Ackerman nie obarcza pierwotnego systemu winą za wielki kryzys konstytucyjny, którego nadejście obserwuje. System ten został przynajmniej wypróbowany. Uporał się wszak z wieloma momentami groźnymi tak dla konstytucji, jak i dla republiki. Jednak obecny system polityczny i konstytucyjny Stanów Zjednoczonych zmienił się w zasadzie nie do poznania. Jego źródłem jest ten właśnie proces, w ramach którego republika amerykańska mierzyła się z wyzwaniem ostatnich dwóch stuleci. Co niepokojące, wszystkie niebezpieczne patologie, które Ackerman jest w stanie zidentyfikować, okazują się relatywnie świeże i budzą w nim obawę, że zbliżamy się do punktu, w

którym zaczną one wzajemnie ze sobą oddziaływać, gdy wszystkie elementy obrazu upadku – Dziejów imperium – znajdą się na swoich miejscach [4].

Cóż zatem przewiduje? Po pierwsze, że system nominacji prezydenckich przyniesie wzrost liczby outsiderów, wybieranych dzięki mobilizacji opinii publicznej wokół skrajnych i niekonwencjonalnych programów. Po drugie, że prezydenci coraz bardziej opierać się będą na politycznej polaryzacji, dostosowując skrajne przesłania do różnych mikro-społeczności. Po trzecie, że szukać będą wsparcia skrajnych lojalistów, nie zaś administracji państwowej, a także, że wypracowywać będą nowe sposoby korzystania z władzy wykonawczej nad siłami zbrojnymi. Po czwarte, że, powołując się na kryzysy wewnętrzne i szczególnego rodzaju mandat udzielony przez elektorat, podepczą procedury konstytucyjne. Konkluzja Ackermana: „taka jest dynamika zmierzchu i upadku amerykańskiej republiki” [5].

Wiele z tych obserwacji jest niezwykle przenikliwych – zarówno Obama, jak i Trump, przyczynili się do przybliżenia się tych ewentualności – ale w odniesieniu do co najmniej jednej kwestii okazało się, że Ackerman był w błędzie. Swoją książkę zakończył, ponownie wyrażając niepokój, że nastawienie Amerykanów stało się zbyt triumfalistyczne: zrozumienie, że amerykańska tradycja konstytucyjna popadła w poważne tarapaty, „jest dziś zupełnie nieobecne. Amerykanie są de facto bardziej skłonni wysławiać wiekuiłą mądrość ojców założycieli, niż byli jeszcze pokolenie temu” [6]. Być może było to prawdą dziesięć lat temu, ale od tego czasu weszliśmy w okres, kiedy w powszechnej atmosferze na plan pierwszy wybiła się narracja o upadku, najczarniejsze mroki zakryły Waszyngton, a Amerykanie obsesyjnie powracają do obrazów dyktatorów, wojny

domowej i ruin imperium. Popularne powieści, takie jak *Tropic of Kansas* czy *American War*, wiarygodnie opisują przyszłość, w której Stany Zjednoczone upadły, wybrano faszystowskiego prezydenta, niebo patrolują drony-mordercy, stadiony futbolowe przekształcono w więzienia, wybuchła druga wojna secesyjna, Teksas został najechany przez Meksyk, a partyzanci sieją wokół spustoszenie.

Wielu dzisiejszych komentatorów przekonuje, że amerykańskie elity zaczęły postrzegać swój własny kraj jak łup, o który należy walczyć. Prądy społeczne ostatnich czterech dekad są przejawem nieodpartego dążenia do realizowania własnych interesów kosztem dobra wspólnego, nawet jeśli dążenia te grożą widmem ostatecznego upadku systemu. Prywatyzacja, deregulacja, wzrost znaczenia świata finansów – to współczesne wersje dawnej dialektyki rozpadu. Prywatne grupy usiłują wyszarpnąć większy udział w bogactwie i władzy, a inni czują, że i oni muszą działać, póki wciąż jeszcze istnieje zdrowy rdzeń polityczno-gospodarczy, który można łupić. Przepaść dzieląca elity ekonomiczne i intelektualne od reszty społeczeństwa wydaje się większa niż kiedykolwiek wcześniej. Wszelkie poczucie wspólnego dobra znika z pola widzenia, kiedy odrębne klasy społeczne szczute są na siebie nawzajem. W Waszyngtonie demokraci i republikanie nie są już w stanie osiągać kompromisu co do istotnych ustaw i niejednokrotnie zdarza się, że mają zwycięstwo w tych sporach za jedyną rzecz godną uwagi.

Autor David Klion nie dostrzega już w Ameryce trwałej wspólnoty politycznej. Miast niej mówi o globalnej platformie lub globalnym rynku wpływu i korupcji, „w ramach którego mocarstwa zewnętrzne mogą kupować wpływy, kształtować rezultaty polityczne i rozgrywać frakcje między sobą, na potrzeby własnych, sprzecznych planów” [7].

Jest to los, który spotkał wiele wspaniałych imperiów w przeszłości, zostały one rozmontowane przez zewnętrzne mocarstwa i agentów wpływu. Oczywiście wiele krajów wydaje spore fortuny, usiłując lobbować waszyngtońskich legislatorów. Inni odwołują się do uczuć lub korzystają z usług firm komunikacyjnych, zajmujących się mobilizowaniem opinii publicznej. Czy coś się jeszcze ostało, czy Stany Zjednoczone stały się areną, na której inni realizują swoje interesy? I, rzecz jasna, wiele największych firm w Ameryce to międzynarodowe koncerny, mające swoje siedziby rozsiane w największych miastach całego świata i managerów, którzy przejawiają lojalność wobec swoich międzynarodowych kontrahentów w stopniu większym niż wobec większości Amerykanów. Obserwujemy, jak zauważa Klion w konkluzji, nie tyle wycofanie się z projektu imperialnego, ile jego dekadenski upadek, nietrudny do rozpoznania dla każdego badacza historii Rzymu czy Konstantynopola. Ta sama, stara historia o zmierzchu i upadku.

Jeet Heer zastanawia się, czy kiedy gwiazdka porno pożywa prezydenta Donalda Trumpa, a Biały Dom zostaje wypłukany z wszystkich oprócz jego rodziny, Ameryka wchodzi w okres dekadencji mogący swą grozą równać się z upadkiem Cesarstwa Rzymskiego [8]. Redaktor „New Yorkera”, David Remnick, przewiduje, że uczeni będą w przyszłości przedzierać się przez nasze tweety, podobnie jak my dziś czytamy Swetoniusza, „by zrozumieć, w jaki sposób niezrównoważony władca może zmienić w pośmiewisko instytucje republikańskie, zniweczyć kolektywny układ nerwowy państwa i zdegradować całość życia publicznego” [9]. Bill Kristol tweetuje, że jest pod wrażeniem tempa, w jakim Stany Zjednoczone odwzorowują zmierzch i upadek Rzymu: „Rzymowi zajęło wieki coś, co my osiągamy w przeciągu miesięcy”. Tom Holland dzieli się refleksją, związaną z inną historyczną analogią. Kasjusz, zabójca Juliusza Cezara, pozdrawiany był przez Brutusa, współspiskowca, jako ostatni z Rzymian. „W podobnym duchu spotkali

się we wrześniu 2018 roku opłakujący Johna McCaina, człowieka, którego kariera żołnierska i senatorska autentycznie rozbrzmiewała dalekimi echemi Rzymu” [10].

Jednak Trump to tylko drobna część narracji o upadku. Tyler Cowen przedstawia szerszą panoramę wszelakich sposobów, na które amerykańskie życie zbliża się do przełomowego punktu, w chwili kiedy przeciwstawne siły narastają. Wzrost produktywności zwalnia od jakiegoś czasu, a wobec tak wysokich poziomów długu Ameryka będzie musiała podnieść podatki lub ograniczyć wydatki publiczne. By pokryć dziurę budżetową, przyszłe administracje staną wobec konieczności obciążenia wydatków infrastrukturalnych i wojskowych. Chinom i Rosji łatwiej będzie wtedy sprawować kontrolę nad swoimi regionami, a wpływ Ameryki w wielu miejscach świata zaniknie. Liczba przypadków przedawkowania narkotyków i uzależnienia od nich wzrośnie wykładniczo w miarę opracowywania nowych, potężniejszych środków odurzających. Skala masowej inwigilacji osiągnie niewyobrażalne poziomy. Rozpowszechnieniu się dronów-zabójców być może uda się zapobiec przez wypełnienie nieba dronami policyjnymi. Technologia sprawi, że codzienne życie w Chinach stopniowo przestanie się różnić od życia w Stanach Zjednoczonych. I niewiele można na to poradzić, ponieważ wszystkie te procesy wynikają z działania potężnych sił ekonomiczno-społecznych, zupełnie niezależnie od tego, kto w danym momencie urzęduje w Gabinetcie Ovalnym [11].

To nie Trump jest odpowiedzialny za powyższe, choć to zapewne on sprawił, że proces ten jest znacznie dotkliwszy i traktowany bardziej personalnie. To wojny w Afganistanie i w Iraku, które miały zanieść amerykański sen na krańce świata – dwie dekady później, poniosłszy ogromne straty finansowe i ludzkie, Stany Zjednoczone szykują się do

przekazania Afganistanu Talibom [12]. To huragan Katrina i inne klęski żywiołowe, z powodu których Stany Zjednoczone przez długi czas sprawiały wrażenie państwa upadłego. To światowy kryzys finansowy, z którego znaczne obszary kraju nigdy się nie podniosły, a – towarzysząca mu – szokująca rozbieżność między odczuciem zagrożenia narodowego, które spowodował, a samozadowoleniem, z jakim system zań odpowiedzialny pozostawiono w zasadzie nienaruszonym. To rozpad przestarzałej infrastruktury, która w pół wieku pokonała drogę od wzbudzania zachwyty gości zza granicy po niepokój, czy wylądowali we właściwym kraju. Weźmy przypadek miasta Nowy Jork: choć może to brzmieć nieprawdopodobnie, nie wybudowano w żadnym z pięciu jego głównych okręgów żadnego elementu publicznej infrastruktury od czasu, kiedy oddano Most Verrazzano, łączący Brooklyn ze Staten Island. Gdy na scenie pojawił się Trump, twierdząc, że Ameryka nie jest już wielka i trzeba ponownie uczynić ją wielką, ludzie wiedzieli, o czym mówi.

Bruno Maçães

Fragment pochodzi z wydanej nakładem Teologii Politycznej książki *Początek historii. Narodziny nowej Ameryki*.

fot. World Economic Forum / FLICKR (lic.)

Przypisy:

[1] T. Jefferson, *Uwagi o państwie Wirginia*, przeł. T. Wiecech, Kraków 2014, s. 219

[2] A. Miller, *Thomas Cole and Jacksonian America: The Course of Empire as Political Allegory*, Cambridge 1989, s. 84.

[3] Polibiusz, *Dzieje*, 38.22.

[4] Por. B. Ackerman, *The Decline and Fall of the American Republic*, Cambridge 2010, s. 186.

[5] Tamże, s. 9–10.

[6] Tamże, s. 187.

[7] D. Klion, *The American Empire is the Sick Man of the 21st Century*, „Foreign Policy” 2019, Apr 2.

[8] Por. J. Heer, *Are We Witnessing the Fall of the American Empire?*, „The New Republic” 2018, Mar 7.

[9] D. Remnick, *The Increasing Unfitness of Donald Trump*, „The New Yorker” 2018, Jan 5

[10] T. Holland, *Decline and Fall: Why America Always Thinks It's Going the Way of Rome*, „The Spectator” 2018, Nov 10.

[11] Por. T. Cowen, *The Decline and Fall of the American Empire*, „Bloomberg” 2018, July 30

[12] Zgodnie z decyzją prezydenta USA Joe Bidena z 14 kwietnia 2021, amerykańscy żołnierze opuścili Afganistan latem tegoż roku. Władza została przejęta przez Talibów [przyp. red.].